Cena 35 groszy.

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK
wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

Rok VI. CZĘSTOCHOWA, MARZEC 1932 ROK. Nr. 5 (40).



Z nowych wydawnictw.

M. Zaruski gen. „NAWIGACJA JACHTOWA". Warszawa. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydawniczy 1932 r. str. 128. Cena 5 zł.

Od chwili posiadania własnego wybrzeża z każdym rokiem wzrasta zamiłowanie do morza i podróży morskich. To też poza zawodowymi marynarzami liczba miłośników żeglugi morskiej stale się powiększa, zwłaszcza, że sprawa ta zyskuje należyte poparcie P. U. W. F. i P. W. Podróż jednak na szerszych wodach wymaga odpowiedniego przygotowania i znajomości w zakresie jachtingu, czego dotychczas skutecznie nie można było osiągnąć w braku dostępnych polskich podręczników i opracowań. Omawiana praca rozwiązuje te trudności, dając streszczenie całokształtu wiedzy nautycznej w rozmiarach koniecznych potrzeb polskiego jachtsmana — czyli prawdziwe jego vademecum. Bez potrzeby więc zgłębiania całej wiedzy nautycznej, a jedynie po przestudiowaniu pracy, polski jachtsman może się wypuścić na przestworza mórz: Bałtyckiego, Północnego, Biskajskiego. i Śródziemnego.

Niezwykle bogata treść tej pracy składa się z III części. W I opisuje autor przyrządy i przybory nawigacyjne, mapę Markatora, rumby. kursy. pelengi. II zawiera wykreślenie kursów. zliczenia, określenie dewjacji i inne, III — międzynarodowe przepisy o żegludze statków, podae je podręczne wydawnictwa morskie i co bardzo ważne, systematycznie opracowany zbiór komend i rozkazów, które mogą mieć zastosowanie na jachcie. Dołączone są przytem 2 tablice kolorowe flag, sygnałów, świateł, latarń i przykładów rozmów flagami.

Pozatem książka zawiera 31 doskonałych rysunków, mapę, poł., zach. Bałtyku, bardzo ładną i oryginalną okładkę kolorowa.

Całość pracy ujęta jest systematycznie oraz przejrzyście i przystępnie. Cenny ten dorobek w naszej literaturze morskiej niewątpliwie zdobędzie życzliwe przyjęcie wśród dzielnych i pełnych zapału naszych jachtsmanów, tem bardziej, że osoba autora, znawcy w tej dziedzinie, daje gwarancję wysokiej wartości pracy.

Inż. Wojnicz-Sianożęcki. „ZBIOROWA OBRONA PRZECIWGAZOWA WIĘKSZYCH SKUPIEŃ LUDZKICH". Warszawa 1932. Wojskowy Instytut Naukowo-Wydaw. str. 110. Cena 1.80.

Nie jest to żadną tajemnicą, że mimo haseł pacyfistycznych wszystkie państwa zbroją się po cichu i pracują wiele nad rozwojem i wynalazkami w dziedzinie gazów trujących, tej groźnej broni w wojnie nowoczesnej.

Społeczeństwo nasze, nie chąc ulec zaskoczeniu pod tym względem w razie wojny, musi bacznie śledzić ten objaw i zawczasu przygotować się do obrony przeciwgazowej.

Zagadnienie obrony przeciwgazowej znajduje u nas coraz większe zrozumienie — co jest zupełnie naturalne ze względu na palącą potrzebę jego należytego traktowania. Wyrazem tej potrzeby jest ukazująca się obecnie praca wybitnego specjalisty z tego zakresu, prof. Sianożęckiego, który wyczerpująco i rzeczowo ujmuje zagadnienie zbiorowej obrony przeciwgazowej. Jest to bodaj pierwsza praca, omawiająca szczegóły organizacyjne i plany obrony przeciwgazowej. Dzieli się na 2 częci, z których I-a obszernie roztrząsa potrzebę obrony zbiorowej, określa jej cechy, zalety i wyszkolenie, II-a porusza środki techniczne obrony zbiorowej, schrony, wybór ich miejsca, ich właściwe przeznaczenie i celowość, całkowite urządzenie w nich oraz specjalnie — wentylacyjne. Obszernie przytem jest omówiono ewakuacja ludności do miejsc bezpiecznych. Zawarte w pracy szczegóły obrony zbiorowej są wynikiem ostatniego stanu wiedzy wojskowej w tej dziedzinie.

Ze względu na fachowe i gruntowne potraktowanie przedmiotu książka powinna się znaleźć w ręku tych wszystkich osób oraz czynników samorządowych, społecznych i zawodowych, które są powołane do wykonywania zadań obrony przeciwgazowej.

M. B. Lepecki „Z MARSZAŁKIEM PIŁSUDSKIM NA MADERZE". Warszawa. Wojskowy Instytut Wydawniczy 1931.

Osoba Marszałka Piłsudskiego zaprzątała zawsze umysły zarówno jego rodaków, jak obcych, zwolenników i przeciwników. Nic dziwnego tedy, że Jego zeszłoroczny wyjazd na Maderę spotkał się z tak wiekiem zainteresowaniem całego społeczeństwa, zainteresowaniem, przechodzącem niekiedy miarę utartych zasad przyzwoitości. Książka powyższa jest czemś w rodzaju „dementi" przeróżnych pogłosek. Autor barwnym, prostym stylem opisuje na tle cudownej przyrody i łagodnego klimatu Madery tryb życia Marszałka, misternie wplatając weń szereg ciekawych anegdotek i „ploteczek". Całość sprawia nadzwyczaj miłe wrażenie i jest ważnym przyczynkiem do charakterystyki „pierwszego obywatela naszej Ojczyzny".

E.— B.-

ŚWIAT SZKOLNY

MIESIĘCZNIK

wydawany staraniem Samopomocy Szkół Średnich w Częstochowie.

Rok VI. CZĘSTOCHOWA, MARZEC 1932 ROK. Nr. 5 (40).

MARSZAŁEK.

*GDY NOC CIEMNA NIEWOLI WISIAŁA
NAD NARODEM — ON BUDZIŁ DO CZYNU.
GDY JUTRZENKA WOLNOŚCI ŚWITAŁA,
ON MU WIENIEC PLEŚĆ KAZAŁ Z WAWRZYNU.*

*WAWRZYN SŁAWY NA MĘKI SZKARŁACIE
ZAPLEŚĆ KAZAŁ NA SKRONIE MU SWOJE,—
I WOLNOŚCI MU OTWARŁ PODWOJE —
I POKAZAŁ GO ŚWIATU W TEJ SZACIE.*

*A ŚWIAT CAŁY W PODZIWIE OGROMNYM
SŁAWIŁ WIELKOŚĆ WOLNEGO NARODU —
I WIEŚĆ BIEGŁA OD GRODU DO GRODU
O RYCERZU TYM WIELKIM NIEZŁOMNYM*

*O RYCERZU, CO ODDAŁ SWE ŻYCIE
PRACY CIĄGŁEJ DLA DOBRA OJCZYZNY,
CO KREW LAŁ SWĄ DLA LUDU OBFICIE —
I NIE BACZYŁ NA RANY NI BLIZNY.*

*WIĘC GDY DZISIAJ NASZ SZTANDAR ZWYCIĘSKI
DZIERŻY GÓRNIE TEN WIELKI TRIUMFATOR,
ZAPOMNIANE JUŻ SMUTKI I KLĘSKI —
I ŚPIEW HUCZY: O! AVE SALVATOR!...*

St. Krysiński — G. Z. S. K.

MĄŻ OPATRZNOŚCIOWY.

Po upadku powstania styczniowego zapanowała na ziemi polskiej noc głucha niewoli.

Zniknęły kędyś tęczowe sny i bohaterskie porywy romantyków, ginęła zwolna wiara w to, iż zbrojny czyn odrodzi Polskę, że szlakiem krwi wiedzie droga ku wolności. I gdy nad światem całym zawisł stalowy miecz Marsa, kiedy warsztaty i fabryki amunicji pracowały w gorączkowem tempie, kiedy wszystkie państwa grały komedję zbrojnego pokoju — wtedy załamał się naród. Zaczęto wysuwać na plan dalszy — do nieskończoności nawet — akcję niepodległościową, dążąc natomiast do współpracy pokojowej z zaborcą, współpracy, której wyrazem wybitniejszym jest ów tak modny w owym czasie pozytywistyczny trójlojalizm. Lecz wtedy w narodzie powstał mąż, który umiał chwałą nieśmiertelną opromienić jego imię, który umiał postawić go w rzędzie wolnych ludów, umiał ziścić w czynie marzenia ojców i dziadów. Był nim Józef Piłsudski. Światło dzienne ujrzał w małej mieścinie Zułowie w roku 1867.

W domu wychowywano go w atmosferze miłości Ojczyzny. To też gdy przesiąknięty temi idejami wyjechał młody Ziuk, jak go wówczas nazywano, do Charkowa na studja, zostaje szybko usunięty przez władze moskiewskie, jako niebezpieczny dla państwa. Wraca do Wilna, lecz tu zostaje aresztowany w związku ze spiskiem przeciwko caratowi i skazany na pięcioletnie wygnanie na Sybir.

Tam właśnie Józef Piłsudski poznał dokładnie i zrozumiał ciemną, barbarzyńską duszę moskali, uświadomił sobie jasno niebezpieczeństwo grożące odeń polskiej kulturze. I dlatego jakkolwiek zawsze był wrogiem wszystkich zaborców, to jednak zawsze specjalny nacisk kładł na walkę z Moskwą. W roku 1892 wraca do kraju. Jest współzałożycielem partji P. P. S. i redaktorem i wydawcą „Robotnika", zostaje aresztowany powtórnie, lecz udaje mu się zbiec z więzienia i kontynuować dalej swą pracę. Zakłada głośną swojego czasu Organizację Bojową, mającą terrorem wymusić na zaborcy ustępstwa. Następnie przewiduje jako bystry polityk zbliżającą się wojnę światową, zakłada „Strzelca" i pokrewne mu militarne organizacje. To też, kiedy wybucha istotnie światowa wojna, Józef Piłsudski staje na czele grupy swoich zwolenników i wiedzie ich wśród trudów i znoju ku świetlanej jutrzence wolności. A kiedy znowu podstawy państwa polskiego były poważnie zagrożone przez najazd dzikich hord bolszewickich, brawurowym czynem rozbija „armję" sowiecką. Po zakończeniu wojny ustępuje ze stanowiska Naczelnika Państwa, jakim został wybrany i usuwa się w zacisze domowe. Lecz anarchja i nieład wewnątrz kraju nakłaniają go do żywszego zajęcia się sprawami politycznemi. W maju 1926 roku dokonywuje zamachu stanu i ujmuje we własne ręce ster rządów, grupując i organizując naokoło siebie ludzi, dla których najwyższym ideałem jest państwowość polska. Takie jest życie Wodza Narodu, życie pełne zmagań ustawicznych i zawodów bolesnych, będące pasmem cierpień i trudów, życie owiane umiłowaniem nieśmiertelnej idei wolności, wiary w odrodzenie narodu i nadziei w lepsze jutro. Takim jest byt człowieka, co nie dla siebie żył i żyje, jeno dla innych.

Roman Toczyłowski, G.P.T.

PIŁSUDSKI.

Rzekł Bóg: — Niech wstanie!
— Niech idzie!
I wstał i poszedł —
Na czyn.
— Niech cierpi i kocha!
Umiłował więc lud swój i życie zań

oddać pragnął. Lecz nie pisano mu tego w księdze przeznaczeń. Więc walczył i zwyciężał.

Szedł do ludzi z pozdrowieniem współtowarzysza niewoli.

Szedł z miłością ojca i brata.

Szedł z gorącem uczuciem umiłowania swej ziemi.

Szedł z niezłomnem pragnieniem wolności

Na bój.
Więc zwyciężał.
Zwyciężył.
Czy dziś spoczywa? —

Nie — on walczy!

Walczy ze złem moralnem, z podłością części swej braci, z dzikiemi instynktami człowieka pierwotnego.

Lecz cierpi i kocha.
Więc zwycięża.
Dla Jej dobra —
Jej chwały —
Jej szczęścia. —

Za to go kochamy i kochać będziemy.

Bo on nasz wódz, nasz ojciec, nasz brat — nasz anioł przeznaczeń.

Więc miłość w sercach gore —
Dla niego —
Zwycięzcy —
Wodza —
Józefa Piłsudskiego.

H. Basińska, Szk. Handl.

O WYCHOWANIE PAŃSTWOWE.

„Dajcie mi wychowanie młodzieży na 50 lat, a świat przemienię" — powiedział wielki filozof niemiecki Leibnitz, rozumiejąc, jak wielką i niespożytą siłę przedstawia młodzież i jak dobrze można ją zużytkować, dając jej odpowiednie wychowanie.

Jakież to ma być wychowanie, co ma być jego najważniejszym czynnikiem? Jedynie racjonalne w obecnej epoce jest wychowanie państwowe, a jego naczelnym czynnikiem jest kult bohaterów narodowych.

Italja za największego swojego bohatera uważa Mussoliniego, bo on skomunizowane i chylące się do upadku państwo potrafił wznieść na wyżyny mocarstwa, stworzył nową ideologję dla swego narodu. Cześć Włochów dla niego jest tak wielką, że niema szkoły, w którejby niestawiano go za przykład, niema dziecka, któreby nie wiedziało, za co go Włosi kochać powinni. U nas w Polsce nazywa się Wielkim Bolesława Chrobrego, bo potrafił złączyć słowian i utworzyć z nich państwo, ale odmawia się tego tytułu Marszałkowi Piłsudskiemu. Dlaczego? Przecież Marszałek Piłsudski bardziej jeszcze na to zasłużył, gdyż ze „szmelcu" wskrzesił Państwo Polskie, dał mu podstawy i pchnął je na drogę mocarstwową. Czyżby u nas, Polaków, zamarło już uczucie wdzięczności dla człowieka, który zwrócił nam nasz największy skarb, Wolność? Jeżeli tak stało się, że społeczeństwem starszem, to my, młodzi, nie pójdziemy w ślady naszych ojców i będziemy zawsze kochać Naszego Wodza, nie zapomnimy nigdy o tem, że „Obywatel Marszałek Józef Piłsudski dobrze zasłużył się Ojczyźnie".

Obecny nasz Rząd stanął na drodze do stworzenia nowego typu obywatela, wskazał szkole polskiej nowy kierunek wychowania, wychowania, o które my już nie prosimy, ale którego od szkoły żądamy. Już najwyższy czas zerwać z przysłowiem, które może stać się przekleństwem dla naszego narodu, że „szkoła uczy, a dom wychowuje". Szkoła musi uczyć i wychowywać. Rodzice, zajęci wytężoną walką o kawałek chleba, nie mają czasu, a bardzo często nie są w stanie wychowywać swoich dzieci tak, aby stały się one pożytecznemi jednostkami i dobrymi obywatelami. Składają ten ciężar na barki szkoły, mając do niej zaufanie i wierząc, że ona tego zaufania nie zawiedzie. Społeczeństwo starsze zarzuca młodzieży brak ideałów i ma dużo racji. Skoro jednak widzi się zło, należy je zdusić w zarodku, wskazać drogę dobrą ,dać jej ideał. Czekaliśmy na to długo, bo aż 13 lat. Ideologja Nauczyciela Narodu Marszałka Pił-

sudskiego powinna była już dawno stać się własnością ogółu, a przedewszystkiem młodzieży, a stała się nią dopiero w 14 roku naszej Niepodległości. Dopiero dziś weszło się na realne drogi do stworzenia typu obywatela, stawiającego interes państwa ponad własny, czy klasowy. Mówiono nam coprawda i dawniej, że dobry obywatel powinien wszystko poświęcić na ołtarzu miłości Ojczyzny. Stało się to jednak dla nas frazesem, bo nie mówiono nam o człowieku, który jest najlepszym przykładem tego poświęcenia—o Marszałku Piłsudskim. Młodzież polska musi być wychowana w kulcie dla tego Wielkiego Wychowawcy Narodu, musi być wychowana dla państwa, a nie dla partji, nie dla demagogów, którzy pragnęliby używać jej za narzędzie do własnych celów, do zaspokojenia niezdrowych ambicyj, do zrobienia karjery. Minął już czas, kiedy młodzież akademicka i uczniowie szkół średnich dostarczali niecnych opozycjonistów ugrupowaniom politycznym, które wszelkie poczynania Rządu zawsze krytykowały, bo to był Rząd człowieka, który zamiast spodziewać się od nich wdzięczności, spotykał tylko głuchą nienawiść. Młodzież, która otrzyma wychowanie w myśl zasad Marszałka, będzie tylko Jego i Państwa polskiego własnością.

K. Prażmowski, G.P.H.S.

PERŁA ADRJATYKU.

Dokończenie.

Cudowny letni poranek. Kierujemy się ku placom św. Marka. Te same ciasne uliczki, ten sam różnobarwny, rozgwarzony, rozśpiewany tłum. Przetrzymujemy wstępny atak przewodników, ofiarujących swe usługi, oblężenie sprzedawców kart, albumów i pamiątek i oto jesteśmy na miejscu. Wydłużony plac, w 3 4 objęty jest przez pałac królewski i Prokuratorja, spokojne i jednolite w pomyśle. Są one tłem, na którem rozwija się bogaty ornament architektury wschodniej strony placu: brama z zegarem, bazylika, campanila i pałac Dożów. Każde z nich stanowi odrębne arcydzieło budownictwa, mimo tego zlewają się w doskonałą całość, w symfonję piękna i harmonji. Bazylika św. Marka i pałac Dożów, mimo, że są tak znane, powiedziałbym nawet okrzyczane i przereklamowane, wzbudzają u wszystkich zawsze ten sam podziw. Jak mógł powstać ryzykowny projekt oparcia masywnej góry pałacu Dożów na koronkowej podstawie, co dało wynik jedyny i niezrównany? Jakim sposobem kopulasta bazylika, przeładowana przeróżnemi rzeźbami, malowidłami i mozaikami, nie gubi się w nich, i mimo przeładowania tworzy całość o wyglądzie nader estetycznym? Każde z nich stanowi unikat w stylu, formie, pomyśle, dlaczegóż więc zebrane razem, rozmieszczone na tak małej przestrzeni tworzą harmonijną całość skończonego piękna? Te myśli i pytania nasuwają się każdemu i jedną znajdują odpowiedź: te gmachy tworzył genjusz wenecjan, jako widomy znak potęgi, świetności i umiłowania piękna przez władców Adrjatyku — dożów. Ich pałac — to zbiór wspaniałych sal i komnat, ozdobionych malowidłami i rzeźbami najsłynniejszych artystów, a zarazem to ponure więzienie z najstraszniejszemi i najwyszukańszemi rodzajami tortur średniowiecznej inkwizycji. To pierwsze zachwyca, wzbudza podziw — to drugie przejmuje dreszczem zgrozy.

Zbyt długo nie zwiedzamy tego pałacu. Mijamy olbrzymie sale senatu, Rady Dziesięciu, Wielkiej Rady, przedostajemy się następnie przez wąski korytarz do słynnego „Mostu Westchnień“, z którego zrzucano więźniów politycznych do kanału i przybywamy wkońcu do więzień. Stąd, idąc długiemi korytarzami niespodziewanie wydostajemy się na plac św. Marka. Długie szeregi gondol zapraszają nas na przejażdżkę po „Canale Grande“. Gondolier zręcznym ruchem wiosła wyprowadza łódź z szeregu i po chwili suniemy szerokim kana-



Gondolier wenecki.

łem. Ostry grzebień gondoli pruje bezszelestnie dziwną wodę weneckiego kanału, inna w składzie, gatunku, kolorze: ciężką, gęstą i nieprzenikliwą, nie ukazującą nigdy dna. Gondolier wymienia raz po raz nazwiska twórców i posiadaczy rezydencji nad kanałem. W ciszę zapadają rodowe dźwięczne nazwy Fascari'ch, Contarini'ch, Spinelli'ch i długi szereg innych, co, budując Wenecję, nazwiska swe nazawsze z nią związali.

Kanał przewija się w skrętach, a każdy zakręt odkrywa nowe widoki; fasady pałaców przesuwają się niby widziadła, jedne tajemnicze, groźne lub ponure, inne lekkie, pełne gwaru i radości pięknych pań i eleganckich panów — to pierwszorzędne hotele.

Przesuwamy się cicho pod łukiem Rialto. Gondola porzuca główny kanał i skręca w wąskie kanały, puste i pozbawione życia. Gondolier przed każdym zakrętem wydaje ostrzegawcze, przeraźliwe „Ahooo — oj!“

Krzyk ten przepada w martwej pustce jak dźwięk bez znaczenia. Liczba kanałów jest wielka, a przecinając się w najrozmaitszych kierunkach, stwarzają prawdziwy labirynt, w którym zabłądzić jest bardzo łatwo, a wydostać się trudno, zwłaszcza w nocy, gdy ciemność ledwie rozpraszają rzadkie pojedyńcze światła. Domy nad wodą, odwrócone od życia, stoją nieme, bez światła, bez głosu, a jedyny ruch na kanale — kołysanie się wody pod ścianami — zdaje się pogłębiać ich sen. Od czasu do czasu trafi się fasada jakiegoś kościoła, obecnie opuszczonego i zamarłego. Z ogromnej liczby kościołów, przeszło 160, część tylko nadaje się do użytku. I tutaj uderza nas zasadnicza różnica: gdy nasze kościoły, przepełnione w niedzielę, zapełniają się w powszednie ranki tłumem wiernych, tu nawet w uroczyste święto świecą pustkami wspaniałe katedry i bezcenne kaplice.

Gondola płynie wąskim kanałem, tak wąskim, że ociera się nieledwie o mury martwych domów i omija ich popękane stopnie. Ale to wszystko odbywa się z dziwną zwinnością, gondola wykonuje prawdziwie kocie ruchy. Nie dotknie żadnej zmurszałej ściany, grożącej lada-

chwila zawaleniem i nie muśnie żadnego stopnia.

Sunie wskroś, jak duch. Pod murami, pod mostami, przez nierozwikłane zakręty rio, wydostajemy się nakoniec na morze i sunąc wzdłuż promenady „viva degli Schiavoni" przybijamy do Piazetty.

Na placu św. Marka straszliwie duszno i parno. Jest godzina 5-ta. Pod Prokuratorjami siedzą ludzie osowiali, ocierając pot z czoła. Kelnerzy, ten najbezsenniejszy na kuli ziemskiej gatunek ludzi, łażą jak senne muchy. Nawet gołębie, syte grochu, znudzone podziwem i fotografowaniem, posnęły na gzymsach i wszelkich zagłębieniach.

Miasto, niedawno takie wesołe i rojne — Wenecja! — zmartwiała i przemieniła się w pustynię. Kto żyw uciekał na Lido. Dopiero gdy z nad morza powiał chłodny wietrzyk, gdy na szafirowem niebie zabłysły pierwsze gwiazdy, ocknęły się słodkie gołębie i tłum zaczął wypełniać „Salon" Europy. Dziś przecież robota, więc tylko małe dzieci i obłożnie chorzy pozostali w domu. Duże statki, vaporetta i zwinne gondole zwożą zewsząd setki i tysiące publiczności. Aż podziw bierze, jak się te tłumy mogą pomieścić na tak niewielkim placyku, w dodatku częściowo zastawionym stolikami. Prawdziwa wieża Babel: angielski, francuski, niemiecki ale ponad tem wszystkiem góruje słodkie „buon giomo, permezzo, grazia". Kelnerzy latają między stolikami jak opętani, roznoszą espressa i cassaty. A do tego wszystkiego słodki i kochany Verdi...

Na wysokiej trybunie, na środku placu gra doskonała orkiestra. Gwar jest tak wielki, że ucho z trudnością chwyta dźwięki. Aidy czy Truburadura... w każdym bądź razie Verdi...

A nazajutrz było oczywiście Lido. Długa kosa Lido, oddzielając lagunę od morza, ciągnie się nad niemi piaszczystem wybrzeżem długości 18 klm. i stwarza jedną z najpiękniejszych plaży w Europie, której zalety ocenia nietylko Wenecja, lecz za jej pośrednictwem poznaje i ocenia świat cały, co sprawia, że Lido jest dzisiaj najmodniejszem i najbardziej uczęszczanem kąpieliskiem.

Połączenie z Wenecją jest bardzo dogodne. Pół godziny jazdy małym stateczkiem „vaporetti", parę minut tramwajem i jesteśmy na plaży. Lido ma charakter wybitnie europejski. Od wczesnego ranka do późnej nocy snują się uzbrojeni w olbrzymie Zeiss'y chudzi anglicy, toczą się niemcy, jak okrągłe beczki i przeciągają krzykliwe stada amerykan.

Aleja wysadzona drzewami przecina wyspę na dwie części. Po obu stronach ogrody, parki, wille i hotele, ciągną się naprzemian dwoma szeregami. Nad plażą, zwrócone ku morzu, górują wielkie gmachy: Excelsior Palace i Hotel des Bains, dalej zakład kąpielowy — wszystko z opuszczonemi jak powieki żaluzjami drzemie jeszcze o tak wczesnej porze. Słońce święci tu kwietne orgje: naręcza pnączy przerzucają się przez mury, domy, balkony. Agawy i gruboliściaste kaktusy zbitym żywopłotem odgradzają ulicę od will.

Słońce zalewa plażę, nagrzewa wodę i sypki piasek, a cała racja istnienia, istny bezcenny skarb — morze, cudne prześwietlone słońcem morze, wypełnia horyzont od końca do końca i wraz z przypływem fali niesie swój słony, rześki powiew. Płytkie dno sięga daleko i zaznacza się przy brzegu białym pasem, dalej rozlewa się kołyszący błękit. Spalone słońcem żagle włoskie suną po nim lekko i zgrabnie.

Całą przestrzeń od „Stabilimenti Bagni" aż do wiecznie ruchliwego morza wypełniają bronzowe ciała, beztrosko wylegujące się na miękkim, złotym piasku. Dopiero około godz. 4-ej plaża się wyludnia. Jedni spieszą na partję golfa lub tennisa, inni zaś odjeżdżają do Wenecji. Huczą więc łodzie motorowe, brzęczą, podobne od oszalałych trzmielów, małe, piekielnie szybkie ślizgowce, rozdzierają się przeraźliwem echem syreny wielkich statków. To wszystko zdąża ku Wenecji.

Tempo — tempo, współczesne hasło, dodarło już i tutaj i, usuwając w cień gondolę, mnoży stateczki i motorówki, które prują wodę jak puszczone rakiety,

burzą kanał i mącą ciszę. Wśród obecnych gondolierów brak młodych, a ci, którzy są, ostatni Mohikanie, z wieku i wyglądu przypominają dorożkarzy warszawskich.

Trudno wyobrazić sobie Wenecję bez gondoli, a jednak odchodzą one w przeszłość. Być może, iż za parę lat pokazywać nam będą w muzeum eksponat pod nazwą „gondola“, która służyła nie tylko jako środek lokomocji, lecz raczej jako miejsce czułych wyznań zakochanych par...

Stefan Kulesza, G.P.H.S.

W sprawie artykułu o Judymie.

Ciekawy artykuł p. t. „Czy przyszłość należy do Judymów“, umieszczony w poprzednim numerze „Świata Szkolnego“, porusza niezmiernie ważny, a może najważniejszy problem życia społecznego: zaradzenie ludzkiej nędzy.

Do artykułu kol. Hepnera nawiązuję to w nadziei, że przyczynię się do wszechstronniejszego oświetlenia pierwszych spraw. Przedewszystkiem więc zaciekawiła mnie sprawa dobroci ludzkiej, którą ujmuje kolega z bardzo pesymistycznego punktu widzenia. Jakkolwiek walka o byt wre nieustannie i jest zazwyczaj bezwzględna i chociaż my sami jeszcze nieskończenie daleko jesteśmy od wzniosłego ideału chrześcijańskiego, to przecież twierdzenie, że „dobroć tam się kończy, gdzie zaczyna się ofiara“, jest chyba za ostre. Czy to jest zresztą zawsze i w odniesieniu do wszystkich prawdą? Myślę, że nie. Wystarczy wziąć pod uwagę choćby tylko pełną poświęcenia, charytatywną pracę „Czerwonego Krzyża“ podczas ostatniej wojny, aby znaleźć odpowiedź na zarzut kolegi. Dlatego uważam, że sprawa dobroci ludzkiej nie przedstawia się tak bardzo czarno, a „serc uczciwych, do których apelują Judymowie“ na szczęście niemało jest na świecie. Jest bardzo wielu ludzi dobrych, których praca nie przynosi jednak pożądanych rezultatów. Dzieje się to jedynie dlatego, że brak im inicjatywy, energji, lub zdolności: sama dobroć bez tych czynników nie przedstawia rzeczywiście w życiu społecznem wielkiej wartości.

Nie przypuszczam pozatem, aby kolega pomieszał tak dwa różne pojęcia, jak kultura materjalistyczna i materjalistyczny światopogląd. Dlatego też uderzyło mnie w artykule kol. Hepnera ostre i bezwzględne potępienie kultury materjalistycznej i przeciwstawienie jej kulturze chrześcijańskiej. Aby na to odpowiedzieć, trzeba się krótko zastanowić nad tem, o co właściwie walczy dr. Judym.

Otóż pracuje on w imię bezgranicznej miłości bliźniego o zdobycie dla tych najnędzniejszych, najbardziej upośledzonych materjalnego szczęścia. Idzie Judymowi o to, aby zniszczyć to wszystko, co można nazwać nędzą fizyczną. Wtym więc wypadku idee chrześcijańskie nie negują bynajmniej rozwoju kultury materjalistycznej, a raczej uszlachetniają tylko jej dążenie. I dlatego przyszłość będzie należała do Judymów wtedy, gdy tak, jak ich pierwowzór zjednoczą czyny, dążące do realnych, konkretnych wyników z wzniosłą ideą chrześcijańskiej miłości bliźniego.

Halina Oderfeldówna, G.P.J.S.

ODWIECZNA KRZYWDA.

(NOWELA).

„Czemu kwiat jeden w cieniu usycha,
Gdy z drugim słońce się pieści!....
Czemu dla jednych jest szczęścia tyle,
Dla drugich tyle boleści!...

Mała izdebka na poddaszu tonie w mroku. Lampka naftowa, zawieszona na gwoździu wbitym w ścianę, słabo oświetla migotliwym płomykiem część ścia-

ny, a w całej izbie panoszy się ciemność, czai po kątach, wyziera z pod łóżka i zasłania wszystkie przedmioty, pozwalając jedynie na niewyraźne rozeznanie konturów. Miarowy stuk padającego na dach i głośno szumiącego deszczu miesza się z monotonnie powtarzającym się trzaskiem okiennicy o mur, którą szarpie silny, jesienny wicher. W zimnym piecu łka, wyje i jęczy wiatr, jakgdyby rozpaczający i płaczący ostatnią, ponurą pieśń konającej.

Na lichem posłaniu leży wynędzniała jakaś postać. Twarz wychudzona i zjedzona rozpaczą, troską o byt i długą chorobą — upiornie odcina się żółtą cerą na tle pościeli. Wyblakłe, niegdyś niebieskie oczy utkwione w jeden punkt patrzą martwo, bez wyrazu — tylko łzy, spływające od czasu do czasu po policzkach, wskazują, że jeszcze kołacze się życie w nieszczęsnej kobiecie. U stóp łoża klęczy z twarzą ukrytą w dłoniach małych chłopiec. — Ciało jego, okryte łachmanami dygotało z zimna, ramionami wstrząsał szloch, a z dłoni podpierających głowę sączyły się łzy.

Czas mija — sekunda za sekundą przesuwają się poważnie wskazówki zegara — a deszcz wciąż dudni, a wicher wciąż okiennicą trzaska.......

Rok temu na tem samem łóżku złożono ojca, którego przynieśli koledzy dogorywającego. Spadł z wysokiego rusztowania i roztrzaskał sobie o twarde kamienie czaszkę. Jeszcze rano, wychodząc do pracy, pocałował śpiącego syna, pożegnał się z żoną i wyszedł żartując wesoło z kolegą — a w kilka godzin później konał z ciemnej izbie...

Tak samo wicher huczał i trzaskał okiennicą, tak samo migotała lampka i deszcz dudnił po dachu... Lecz wtedy przy konającym czuwały dwie osoby — on i matka, której już łez z boleści zabrakło i tylko martwo patrzała na skrwawioną głowę męża, na której twarzy tak straszna się malowała rozpacz, że mały Stach nie mógł już dłużej tego znosić. Szarpał wciąż mamę za suknię i krzyczał: „Mamo, mamo!“ — więcej nie mówić nie umiał, bo był maleńki, lecz w tym jednym wyrazie kryło się wszystko: rozpacz, strach, współczucie i chęć pocieszenia. I choć nędza groziła sierotom, choć rozpacz omal nie pozbawiła wdowy życia, choć od zmysłów odchodziła z bólu — nieubłagana śmierć znów święciła triumf! Czemu?... Krwawą pracą w pocie czoła na chleb dla siebie i syna pracowała wdowa dniami i nocami, lecz rozpacz, przemęczenie i nędza zwyciężyły ją... I choć broniła się z całych sił, choć żyć dla dziecka pragnęła, jednak posępna królowa świata znów zastukała w jesienną, ponurą noc do biednej izby na poddaszu. Przyszła, by zabrać jedyną opiekunkę i żywicielkę małego Stacha, by skazać go na śmierć głodową — by jeszcze jedno odnieść zwycięstwo....

— — — — — — — —

Przyszła i czai się po mrocznych kątach... pełza przy ścianie... zbliża się do łóżka... a wiatr wciąż łka... a deszcz wciąż dudni i stuka po dachu, jakby licząc sekundy życia suchotniczki. Pełznie śmierć do łoża... sunie przez półmrok i staje nad łóżkiem, przy stopach... Ujrzała ją widać konająca, bo ostatnim wysiłkiem wychyliła swą kościstą, wyschniętą rękę i głaszcze głowę szlochającego syna, a z wyblakłych oczu płyną ostatnie już łzy... Czemu tej Kostuchy nic odpędzić nie zdoła, ubłagać, przekupić lub zniszczyć?... czemu Bóg miłosierny i wszechmocny nie zlituję się i nie zwróci małemu Stachowi matki?... czemu odwieczna krzywda jeszcze jeden triumf święci?...

— — — — — — — —

Minęło kilka lat. Stach już nie jest maleńkiem dzieckiem, już oddawna pracuje na swe utrzymanie. Po śmierci matki znaleźli go sąsiedzi klęczącego przy łóżku i omdlałego z rozpaczy i głodu. Zajęli się nim, pogrzebali mu matkę, choć nie chciał się biedny rozstać z jej ciałem — żywili przez pewien czas u siebie, lecz nadeszła chwila, gdy musiał iść precz. Sąsiad po 30 latach pracy w żydowskiej fabryce został bez posady, ot poprostu wyrzucono go na bruk. Dopóki brał kilka złotych tygodniowego zasiłku, żywił Stacha — lecz gdy i tego mu odmówiono, widmo głodu i zupełnej nę-

Nauka i Praca.

Nauce i Pracy w dowód głębokiego hołdu poświęca
Autor.

...I kiedy człowiek z raju wygnany
poszedł na życia bóle i trudy,
znikły tęczowe sny i ułudy:
na **Pracę** ciężką został skazany.

A kiedy w dalszym rozwoju szuka
nowej i lepszej dla bytu drogi,
znów się pojawia ten prąd złowrogi
i ten przeklęty wyraz: **Nauka!**

O! tak, koledzy, przesądy stare
nam narzucone przez antenetów
wyplenić trzeba i z „nowych światów“
wypędzać każdą bezduszną marę!...

Lecz was zaklinam, koledzy moi,
ceńcie, kochajcie **Naukę i Pracę,**
a niewątpliwie znajdziecie płacę
za wierność dla tej „piękna“ ostoi.

„Ten Ważny“, G.P.T.

---

dzy stanęło u progu jego chaty. Więc dał Stachowi kij mocny, węzełek z bielizną i książkę do nabożeństwa, pajdę chleba na drogę, przeżegnał, pobłogosławił i wyprawił w świat. Mały Stach poszedł w życie i znów doznał opieki jakiegoś dobrego pana, który trzymał go jako subjekta w sklepie. Po dwóch latach dowiedział się Stach, że sąsiad z Parkitki w przystępie szału spowodowanego biedą pomordował siekierą dzieci i żonę i umarł w więzieniu... Czemu głodnego nie nakarmiono — czemu ust spieczonych gorączką nikt nie ochłodził — czemu los tak z nim okrutnie postąpił — czemu odwieczna krzywda znów triumf święci?...

— — — — — — — — —

Stach we dnie sprzedaje, pakuje, wiąże i z uśmiechem podaje towary klijentom, a w nocy — choć zmęczony całodzienną pracą i bieganiem, nie idzie spać, lecz do północy uczy się. Marzeniem jego było dostać się do siódmej klasy i po uzyskaniu matury pójść na medycynę. Jakim on będzie dobrym i sumiennym lekarzem, jak gorliwie zajmie się każdym chorym, jaką opieką troskliwą otoczy prawdziwą nędzę, jak będzie starał się, aby jaknajwięcej ofiar wydrzeć i ukraść tej czarnej, nieubłaganej pani świata! Sam przeszedł twardą szkołę życia, rodzice zmarli, gdy był maleńki i rzucili go na pastwę losu i musiał brać się z nim nieraz za bary, lecz zwyciężył!

Wygrał, bo już do celu nie tak daleka droga! Wszystkie pensje od 7 lat chowa i ma zaoszczędzone na studja, materjał 7 klasy już kończy, a jeśli zda egzamin, jeśli potem dostanie maturę, dostanie się na medycynę — to czegóż mu więcej do szczęścia będzie brakowało? Chyba dyplomu doktorskiego, a ten przecież pracą zdobędzie!

Więc szczęśliwy jest, choć tyle już przecierpiał. A jak mu się los uśmiechnie za kilka lat, gdy już będzie doktorem, gdy będzie zamożnym człowiekiem! Co miesiąc da ofiarę na biednych, lecz i sam będzie korzystał z życia i dostatku!

I marzy tak nocami biedny 18-letni Stach, a tymczasem straszna choroba odziedziczona po matce wdziera się powoli do organizmu... wyżera mu płuca i potęguje się stale pracą, nieprzespanemi nocami, wysiłkami fizycznemi i umysłowemi.... Lecz Stach tego nie czuje, dalej prowadzi swe dzieło. Egzamin zdał, maturę z piątkami i czwórkami uzyskał, a teraz kuje na uniwerku na trzecim już roku medycyny. Marzenia jego już spełnią się niedługo, już bliski kres pracy i zbliża się dzień uzyskania dyplomu. Lecz piersi jego często rwie i szarpie suchy kaszel — twarz ból mu wykrzywia — choroba snać mocno już rozpanoszyła się w płucach... Jasnowłosa Iza z niepokojem patrzy na swego ślicznego Stacha i wciąż zaleca mu iść do doktora, lecz niepoprawny śmieje się. „Sam będę lekarzem, to sobie poradzę, o, przecież to fraszka — zwykłe przeziębienie“. Lecz Iza patrzy wystraszona szmaragdowe-

mi oczętami, jak ten znów chwyta się za piersi i głośno kaszle... Stach przyciąga narzeczoną do siebie, patrzy długo w jej cudne oczy i całując, szepcze: „Już niedługo, Izo! Za miesiąc dostanę dyplom, a wraz z nim przyjdzie posada, pieniądze, i — nasze szczęście, kochanie“. Tak, niedługo przyszła oczekiwana chwila, lecz przyniosła nie cudną baśń szczęścia, tak wymarzoną w młodości przez Stacha — lecz śmierć...

W kawalerskiem mieszkaniu w dniu otrzymania dyplomu kona młody doktór... Nędza dzieciństwa, rozpacz, walka o byt, praca nocna i choroba odziedziczona po matce — zmogły młodzieńczy organizm i przy łożu jego stanęła Czarna pani świata... Gdzie sny młodzieńcze, gdzie pragnienia?... Na co zdał się trud, męka i praca?... Czemu szlachetne myśli młodego filantropa nie mogą zamienić się w czyn?... Czemu twardy los nie da mu żyć?... Czemu nie może zaznać szczęścia, miłości?...

Nie może... bo tak chce nieubłagane prawo odwiecznej krzywdy... bo nieszczęsne fatum w kołysce spojrzało mu w twarz i zawisło nad nim!...

Czemu dla innych jest szczęścia tyle... lecz czemu odwieczna krzywda jeszcze jeden triumf święci?...

Tad. Zieliński, G.P.T.

PRZESZŁOŚĆ i PRZYSZŁOŚĆ.

Są ludzie, którzy żadną miarą nie mogą oderwać się od przeszłości, jakby przykuci do niej, jakby wrośnięci w prastare głazy, nie mogąc ruszyć się z miejsca choćby na przeciwległy pagórek. Widzą ów pagórek, ową dal otoczenia, lecz widocznie lękają się jej, a wolą martwieć, wrośnięci w przeszłość. Oni nazywają to „trzymaniem się tradycji“. Grzebią się w popiołach, obnażają szkielety, a stuleciami stęchły pergamin jest im bliższy, niż świeży oddech życia. I na podstawie swej „biblji“ „tworzą“ teraźniejszość i przyszłość. Tworzą ideały, nigdy nieziszczalne, nie wiedząc, że z popiołów tylko popiół wyciągnąć można, lekki pyłek, który lada wietrzyk rozniesie. Tradycja — wielkie słowo; ono ukazuje nam Wielkość i Nicość, Wartość i Marność, Prawdę i Ułudę, ono może zawierać w sobie potęgę, lecz tylko dla pewnej linji działania, a nigdy dla całokształtu życia. Życia obecnego, ani też przyszłości samą tradycją tworzyć nie można. Potrzeba chwili jest silniejszą od wszelkich tradycyj. Głodnego poezja nie nakarmi, cierpiącemu wzory z cierpień przeszłości nie przyniosą zdrowia, tu potrzeby jest obecny, dzisiejszy czyn, realny czyn: chleb i lekarstwo. Jak mało rozumiemy pracę dla chwili obecnej i przyszłości — dowód mamy w naszej poezji i literaturze. Tematem zawsze przeszłość i obłoki, chwytanie barw tęczowych, „budowanie zamków na lodzie“. A gdy ktoś czasami pragnie oderwać się od skały i wyfrunąć w Czas przyszły, zwykle spada niefortunnie jak Ikar o kruchych skrzydłach.

Tworzyć chwilę obecną i przyszłość — to sprawa zwykle trudniejsza. Tworzyć, znaczy działać logicznie; tu potrzebny trud i wizja, kojarzenie potrzeb i przypadków i rozlicznych możliwości, a zawsze szukanie światła, choćby w najgłębszych cieniach. Zostawmy prochy i szkielety archeologom; górne regjony — uskrzydlonej Naturze; my, urabiajmy z gliny ziemskiej i kłos złotej pszenicy, i dach nad znużoną głową; i balsam kojący rany ciała i ducha, lecz nie urabiajmy nigdy kamienia, nie siejmy cierni, nie mąćmy krynicznej wody. Wszak Natura nawet kałużę stroi w bańki kolorowe, owocom krasi lica, nawet padlinę bujnym kwieciem nakrywa, rozsiewając Piękno i Prawdę wokoło. Tę Naturę, która nigdy nie żyje tradycją ni przeszłością, jeno wciąż tworzy chwilę obecną i przyszłość, która nie zna spoczynku w swej pracy dla życia, dla życia zbiorowego, myśmy naśladować winni. Natura w miejscu nie stoi, ani się wstecz nie cofa. Drzewo dzisiejsze nie opłakuje liści ubiegłej jesieni, mrozem zwarzonych, lecz każdej wiosny dobywa z gliny nowe soki życia, potężniejąc,

rozrastając się stale; a gdy wrogiemi wichry miażdżone utraci w walce żywiołowej swe ramiona i krasę, gdy z ran otrzymanych krew cieknie obficie, ono nie poddaje się, lecz walczy bez chwili wytchnienia, zabliźnia rany, tworząc nową moc dla swej przyszłości, aby stawić opór nadejść mającym burzom. Nasza kula ziemska, pędząc z zawrotną chyżością w przestworzach, nigdy nie wraca w swe miejsce poprzednie i nie wróci do końca istnienia. Ona przebiega oceany przestrzeni, wciąż nowe i nowe, przez dzeisiątki, a może i setki miljonów lat jedynie dlatego, by czerpać w siebie nowe życie z przestworza, z coraz nowszych, niewyzyskanych jeszcze regjonów, by żyć dłużej i tworzyć więcej.

Dlaczegóż my, nieodłączna cząstka Natury, mielibyśmy zastygnąć w bezczynie lub cofać się? Nigdy! Rozkazem życia jest twórcza praca dla przyszłości, energją postępowego ruchu — dążenie w dal! Niech myśl nasza wyprzedza siły, lecz niechże siła biegnie niestrudzenie w skład myśli, a wyścig ten stworzy napewno wielki Czyn! W oceanie przeszłości zwilżamy jeno trudem pędu zroszoną skroń, lecz ani na chwilę nie powstrzymujmy biegu swego, byle dalej, dalej w ten bezmierny Czas, byle bliżej, byle rychlej ku słońcu.

W. Skroński, Gimn. Związkowe.

Wspomnienia o Arturze Oppmanie.

„Trzeba wartować na śmiertelnem polu,
Kędy nienawiść, jako miecz szaleje,
I nie przemawiać, jak wódz z Kapitolu,
Lecz, jak straż nocna, wieszcząca „Już dnieje“.

Jak głęboko rozumiał i oceniał Artur Oppman znaczenie talentu dla człowieka i narodu, świadczy te kilka wierszy, w których wypowiada wyraźnie swoje „credo“ na zadanie poety.

Możemy z całą pewnością stwierdzić, że Or-Ot. całe życie poświęcił dla rozbudzenia i podtrzymania ducha narodu. Był to człowiek o czystej i prawej duszy, poeta z „bożej łaski“, piewca wojska i „Starego Miasta“. Pisać zaczął b. wcześnie, mając zaledwie lat szesnaście, przyczem początkowo pozostawał pod wpływem romantyzmu, wkrótce jednak odnalazł swój kierunek, biorąc z poprzedniego prądu tylko „czysty idealizm i szczerość poetyckich przeżyć“. Artur Oppman posiadał również swój własny, odrębny styl i oryginalny sposób tworzenia.

Ulubionem polem literackiem, na którem wypowiada się Or-Ot najswobodniej — jest mowa wiązana. Wyrażał on w niej najgłębiej i najpiękniej swoje uczucia i wrażenia, nie gardząc jednak prozą, czego dowodem zachwyt dla dzieł Sienkiewicza.

Jako dwa główne tematy, występuje w utworach Or-Ota Warszawa i wojsko. Drobne poezje, poświęcone zabytkom stolicy są istnemi klejnocikami literatury pięknej, rzeźbionemi umiejętnem dłótem natchnionego poety, przyobleczone w wykwintną szatę zewnętrzną. Cechuje je głębokie umiłowanie i znajomość starych warszawskich zabytków i pamiątek zbieranych i wyszukiwanych, z pietyzmem niemal religijnym. Zbiór wrażeń i całe swoje uczucie zawarł Or-Ot w wierszu p. t. „Do Starego Miasta“, w którym przesuwają się przed nami niby galerja duchów, postacie dawno umarłe i zapomniane: widzimy tu i ks. kanonika, kaprala i ubogiego skrzypka, pana Mateusza, a dalej przeciąga cały korowód mar i widm, lekkich i bladych, jakby rozpływających się w mgłe. Poeta często wracał myślą do tych zaułków i uliczek starych, a tak kochanych. Z rozrzewnieniem wspomina swoje wędrówki, gdy, jako młody student, zwiedzał skrytki i kryjówki, znajdując przepiękne widoki i typy, które później odtwarzał w tak artystycznej formie.

„Po tych zaułkach szukam dawnych ludzi,
I drżę ze szczęścia, gdy w ich sercach czytam,
Świat się zamarły na mój rozkaz budzi.
A ja zeń barwy do mej przędzy chwytam,
W com wierzyć przestał znów mnie czarem ludzi,
Jak ptak szybuję i jak kwiat zakwitam,
  znowum gotów na życia ofiarę,
Umiłowane moje Miasto Stare!“

Or-Ot był również twórcą wielu utworów patrjotycznych i tu jednak najczęściej opiewał czyny bohaterskie Po-





Z naszych Kresów.

laków z okresu Napoleona i powstania listopadowego. Po 1830 r. powstał „List z Sybiru", rzecz uznana, nawet przez autora, za najlepszą.

Osobną uwagę musimy poświęcić obliczu wojskowemu poety. Twórczość jego można podzielić, pod tym względem na trzy okresy. Pierwszy, w którym poeta zawierał całą swą tęsknotę do zwycięstwa i chwały Polski, kończy się z rozpoczęciem wojny światowej a potem bolszewickiej. Artur Oppman tworzy wtedy już jako żołnierz, walcząc bohatersko w szeregach wojsk polskich. W swoich prześlicznych wierszach, ujętych w wytworną formę literacką, Or-Ot z całem uniesieniem stwierdza stawanie się Cudu — Odrodzenia Polski. Po roku 1920, gdy już Ojczyzna rozpoczęła swe życie, jako państwo wolne i niepodległe; Or-Ot nie załamał się ani razu, nie widział ujemnych stron zwycięstw, braku jedności i siły w nowoodrodzonym narodzie.

On wierzył tak głęboko w istnienie cudu, w tę świetlaną transformację i przemianę, że jego młodzieńcza i wiecznie żywa wiara nie dopuszczała nigdy możliwości błędu i upadku. Wiersze jego są zawsze jędrne, pełne i przedziwnie wykończone. W każdej zwrotce tętni żywa myśl i uczucie, którem płonęło jego szlachetne serce.

Jako żołnierz rozwinął ożywioną działalność w tygodniku wojskowym „Żołnierz polski", którego był redaktorem i głównym współpracownikiem. Znany jest również Or-Ot, jako czynny członek korpusu oświecenia, gdzie był inicjatorem wielu ulepszeń i nowych pomysłów pięknych zawsze, lecz niekiedy niemożliwych do realizacji w obecnych czasach. W szeregach wojskowych Or-Ot był również niejako łącznikiem pomiędzy przeszłością a teraźniejszością. Jako poeta, obdarzony bujną fantazją wskrzeszał myślą dawnych żołnierzy i ich walki, a jego piękny i pociągający sposób opowiadania podniecał młodych chłopców, marzących potem o laurach zwycięstw w walkach z wrogami Rzeczypospolitej.

Słusznie też Oppmanowi należy się nazwa „podżegacza serc": jednego z tych, którzy położyli główne zasługi na polu powołania narodu do broni; stwierdziła to nawet ankieta wojskowa, urządzona wśród żołnierzy.

Struny harfy Artura Oppmana dźwięczały zawsze czystym, dźwięcznym głosem. Modulował je tak przedziwnie pieśniarz-poeta, że rozełkały się czasem w takt wichrów jesiennych, szumiących za oknami; czasem snuły po nich ciche nuty wspomnień i żalów zbladłych zda się,

dalekich, a jednak krwawiących boleśnie.

Czasem zebrał artysta wszystkie tony razem, zmieszał i zmącił, że wybuchnęły okrzykiem męki i tęsknoty za wolnością, jakby zaszumiały skrzydła orła Korsyki, konającego na skałach św. Heleny — lub brzmiał w nich żal, ból i śmiech jak w „Chopinowskiej cudnej pieśni“, gdy:

„Tak się skrzypki rozgrały
Nie wiesz: śmiech to, czy płacz!
Tak się skrzypki rozgrały
Aż pierś rwie się w kawały“.

Biły z nich gromy „Warszawianki“ i „Ulicznej piosenki“, brzmiał głos roku 1791, „Wolność, Równość, Braterstwo!“ wstawały postacie „wielkich“ narodu. Jak krwawe płatki ponsowych róż padały słowa „Listu“ gdzieś na biel śniegów syberyjskich.

Wstawał potężny cień Napoleona z pod Piramid, zaćmiewający gwiazdę Wschodu. — A przez cały tak długi i różnorodny szereg przewija się nić poświęcenia, ofiary i wiary w zwycięstwo.

„I nie żałować krwi tej; ani siły,
Jeśli prochowi tajną moc przywrócą,
I głaz omszony odwalą z mogiły,
I krzyk umarłych ku żyjącym rzucą“!

Helena Mączewska, Gimn. „Nauka i Praca“.

O ZMROKU.

Kiedy wieczorny bije dzwon,
Kończy się znojnej pracy dzień,
A gdy ostatni słychać ton,
Na ziemię spada szary cień.

Rolnik ostatnią skibę orze,
Ptaki do gniazd powracają,
Na niebie — czerwonawe zorze,
Kiedy wieczorne dzwony grają.

Och!! jakże miło po robocie
Spocząć wśród kwiatów, których woń
Każe zapomnieć o kłopocie
I do modlitwy złożyć dłoń.

Kiedy ostatnie słońca blaski
Ozłocą nam już znojną skroń,
Poprośmy Boga więc o łaski,
Błagalne wznosząc modły doń.

I niech tam, kędy mleczna droga
Jaśnieje nocą pośród gwiazd
Duchy nasze popłyną do Boga,
By z dusz wyplenić grzechów chwast.

Więc choć promienie słońca gasną
I ziemia się upaja snem,
Lecz w sercu mojem jakoś jasno,
Bo łaska Boża dziś jest w niem.

Edward Ciszewski Szk. Handl.

ODRODZONY.

(NOWELA).

Widywałem go zawsze, gdy szedłem do uniwersytetu. Był to siedemdziesięcioletni człowiek, dość niski, dość tęgi w jasnem, rozwianem, wyplamionem paletku, w którem chodził latem i zimą, w czarnym filcowym kapeluszu, z koszykiem świeżego pieczywa w jednej ręce i z laską o czarnej, świecącej gałce w drugiej. Od pierwszego wejrzenia uderzyła mnie jego twarz, twarz starego, polskiego szlachcica, o pięknych jeszcze, wyniosłych rysach, siwych brwiach nad jasnemi, niebieskiemi oczyma i równie siwych wąsach, ocieniających jego usta o szlachetnym profilu.

Od pierwszej chwili przejął mnie sympatją jego uśmiech serdeczny, szczery, gdy witał swych przygodnych znajomych, to przekupkę z owocami, sterczącą pod dużym, białym parasolem, to piekarza dostarczającego mu świeżego pieczywa, które obnosił po domach i sklepach.

O ile sobie przypominam, był to dla mnie krytyczny okres walki z samym sobą. Całe noce spędzałem na studjowaniu dzieł filozoficznych, przechodziłem bowiem przez tak właściwy młodości czas poszukiwania prawdy.

Wtedy to właśnie, gdy me duchowe zmagania doszły do zenitu, ujrzałem go po raz pierwszy.

Uśmiech jego był mi wytchnieniem po długich mękach moralnych i przypomnieniem, że można mieć jednak w życiu chwile jasne i dobre. Ten staruszek, któremu nieszczęścia ubieliły włosy, ale nie zdołały zetrzeć pogodnego, szczere-

go uśmiechu, był dla mnie wcieleniem jaknajlepiej pojętego optymizmu, w którego istnieniu prawie już nie wierzyłem.

Często zastanawiałem się nad tem, kim jest ów człowiek. Wprawdzie mogłem go łatwo poznać, zagadawszy doń przy kupowaniu ciastka lub bułki, nie chciałem jednak tego czynić, bojąc się zrazić go swoją bezceremonjalnością.

Byłem już na 5-tym roku medycyny, gdy wreszcie poznałem mego sprzedawcę pieczywa.

* * *

Było to w grudniu.

Wracałem od kolegi późną nocą do domu. Wicher wył jak stado potępieńców, ciskał w oczy śniegiem, tamował oddech, zasypywał drogę. Mieszkałem za miastem, na ulicach było pusto i głucho, a wokoło mnie szalała tylko zawierucha.

Naraz, tuż przy starym, walącym się parkanie ujrzałem przez zasłonę zadymki jakąś postać. Gdy zbliżyłem się, poznałem w niej ku memu zdziwieniu starego sprzedawcę pieczywa. Widziałem, że nie może iść dalej, dyszał bowiem ciężko i mimo mrozu pot kroplisty wystąpił mu na czoło. Bez wahania zbliżyłem się do niego, ofiarując mu pomoc. Biedny staruszek był tak osłabiony, że niosłem go prawie w swoich ramionach.

Po kilku minutach dopiero, gdy ulica zmieniła kierunek i wiatr nie wiał już na nas z taką siłą, zwrócił się do mnie:

— Jest pan niezwykle grzeczny, młody przyjacielu, a ja panu głęboko jestem zobowiązany. Bo proszę sobie wyobrazić tej--nocy zachorowała mi wnuczka... dziecko mej jedynej córki, nieboszczki... Pobiegłem do doktora...: Jeden powiedział, że ma operację, drugiego nie zastałem, a trzeciemu nie chciało się wychodzić na śnieżycę, aby się nie nabawić kataru... A moja Hanusia umiera tam niebożę...“ i w oczach starca pojawiły się łzy.

Byłem tem wstrząśnięty do głębi: „Panie, rzekłem, nie mam jeszcze doktorskiego dyplomu, lecz profesorowie rokują o mnie wielkie nadzieje. Pozwólcie mi ją zbadać. Da Bóg, że ją uzdrowimy“!

Staruszek uścisnął mi mocno dłoń, zaprowadził na facjatę trzeciego piętra i otworzył drzwi. Przy mdłem świetle naftowej lampki, ujrzałem się w małym, czystym pokoiku.

W rogu koło okna stało łóżeczko, na którem leżała Hanusia. Było to śliczne 3-letnie dziecko. Główkę wtuloną w poduszki, pokrywały złote loki, a długie, ciemne rzęsy ocieniały rozpaloną twarzyczkę i szkarłatne z gorączki usteczka. Z łatwością skonstatowałem, że mała miała zapalenie mózgu.

* * *

Ileż to dni i nocy nieprzespanych przesiedziałem przy łóżeczku tego maleństwa!

Ileż myśli przesunęło mi się, gdy czuwałem nad jej rozpaloną, złotowłosą główką!

Już w mem sercu nie było goryczy i zniechęcenia do życia, nie dopatrywałem się w niem bezcelowości i nudy. Czułem się potrzebnym na świecie, widząc wdzięczność starego dziadunia, gdy jego wnuczka zaczęła powracać do zdrowia. A w piersi mej zebrało się tyle dobroci, czułości, miłości ku ludziom, ku światu, w sercu mem czułem taką radosną harmonję i szczęście, że ze łzami w oczach dziękowałem Bogu za me odrodzenie.

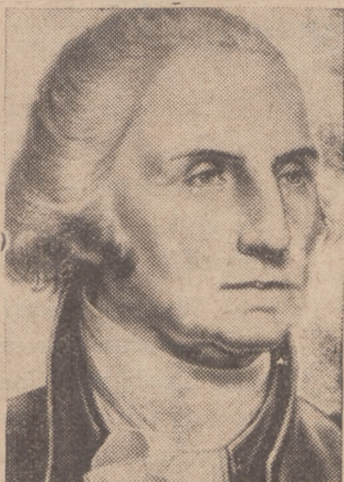
* * *

A na świecie panowała już wszechwładna wiosna.

M. Jaśkiewiczówna, G.P.J.S.

W naszej świetlicy.

Śmiech, krzyk i hałas. W jasno oświetlonej sali siedzi ze dwadzieścia dziewczynek. Wszystkie pochylają się nad robotą, co jednak nie przeszkadza im gawędzić wesoło. W świetlicy wolno nam podokazywać i pokrzyczeć, ale nie za bardzo. Nie ma tu tego srogiego zakazu: „Nie rozmawiać. Uważaj“. Copraw-



Jerzy Washington, pierwszy prezydent U. S. A., którego 150-lecie zgonu obchodzono niedawno.

da, to i na lekcji nie jest żadna idealną, ale co świetlica, to nie klasa. Hałas staje się nie do wytrzymania. Próżno kilka „solidnych“ dziewcząt przestrzega: „Koleżanki, uspokójcie się! Słychać was na rogu Kościuszki. Nie jesteście w lesie“. Nic nie pomaga. Gwar przywołał do sali panią Dyrektorkę, która przyszła zobaczyć, co też się tutaj dzieje, że takie krzyki. Wraz z Jej wejściem milkną wszystkie szmery. Dziewczęta wstają ze swoich miejsc. Każda przybiera jak najpoważniejszą minę. Pani Dyrektorka uśmiecha się do nas i mówi: „Siedźcie i nie wstawajcie. Uspokójcie się, bo przeszkadzacie innym w pracy“.

Po tych słowach wraca pani Dyrektorka do swojego gabinetu. Przez chwilę panuje wśród nas cisza. Trwa jednak niedługo. Z końca sali odzywa się piskliwy głosik jednej z koleżanek: „Pasorzyt klasowy! Hallo, pasorzyt klasowy!“ Na jej głos odzywa się jakaś inna, która myślami była daleko od tego, co się działo w tej chwili w świetlicy: „Czego chcesz?“ Wybuchamy niepowstrzymanym śmiechem. Biedna ofiara. Nic jej nie uratuje od nazwy „pasorzytu klasowego“. Figiel koleżeński udał się znakomicie. Czas jednak wracać do domu. Jedna po drugiej wychodzą dziewczynki ze świetlicy, zabierając swoje zeszyty i książki. W sali robi się cicho i pusto. Obok tylko siedzi w gabinecie pani Dyrektorka, zajęta codzienną swą pracą. Jeszcze raz na podwórzu spojrzą dziewczęta w okna sali i każda szepnie do siebie: „Żegnaj mi, świetlico. Do przyszłej środy“.

W. Grzędzińska, G.P.J.S.

SZKOLNICTWO ZAWODOWE.

Przed wojną światową nie było mowy na ziemiach polskich o racjonalnem kształceniu zawodowem. Pa odrodzeniu Ojczyzny rozpoczęto odrazu grutowną przebudowę naszej organizacji społecznej naszego przemysłu i handlu: nie zapomniano również o szkolnictwie zawodowem. Rząd energicznie wziął się do pracy, zakładając różnego typu liczne szkoły zawodowe, zachęcając jednocześnie do tego samorządy. Praca ta trwa nadal. I już w r. 1924 mieliśmy w Polsce 850 szkół zawodowych, z czego: szkół dokształcających 346, zawod. żeńskich — 234, rzemieśln.-przemysłowych — 194, handlowych 101 rolniczych — 90, kursów handlowych — 84, dokształ. szkół handl. — 62, technicznych — 79, żeńsk. handl. i agro-technicznych po 18. Szkoły te liczyły razem 83,651 uczennic i uczniów.

Rozmach życia gospodarczego i zdobywane rok rocznie coraz większe doświadczenie stanowiły dwa główne impulsy do zakładania nowych i ulepszenia istniejących już uczelni zawodowych. Praca nie ustaje. Już w 3 lata później, t. zn. w r. 1927/8, liczba młodzieży, uczeszczającej do szkół zawodowych i dokształcających zaw. wzrosła do 132,829. (było 379 szkół zawod. i 3078 klas szkół dokształc. zaw.); nauczycieli było 9660. W ciągu tego czasu ilość szkół handlowych (bez kursów) wzrosła o 12, a więc — ze 101 w 1924 r. na 113 w 1927 r., w których wykładało 1,283 nauczycieli.

Cyfry powyższe obrazują nam w przybliżeniu stan szkolnictwa zawodowego w Polsce.

Liczne gimnazja, przy tak niedostatecznej liczbie szkół zawodowych (stosunek ten przedstawia się, jak 5,6:1, podczas gdy np w Czechosłowacji — jak 3,6:1) charakteryzują pewną jednostronność naszego życia. Społeczeństwo polskie nie zdążyło jeszcze wyrobić sobie należytego zdania o szkołach zawodowych; nie rozumiejąc dostatecznie znaczenia i potrzeby wykształcenia zawodowego, lwią część młodzieży posyła do zakładów naukowych ogólnokształcących. Doniosłość wykształcenia zawodowego zrozumiały należycie państwa zachodnio-europejskie oraz St. Zj. A. P., w których szkoły zawodowe są nader liczne i dobrze urządzone. W państwach tych szkoły zawodowe kładą większy nacisk na stronę praktyczną, niż teoretyczną

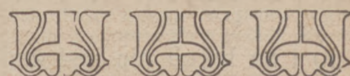
Popierajmy kolonizację polską na Polesiu!





— Gdzieżeś — to chłopcze utył — skąd tak nagła zmiana?

— Wszak z kolonij poleskich wracam, proszę pana!... Każdy nawet najchudszy tam tak utyć może, że go wcale nie poznasz, Szanowny doktorze!...



nauki. U nas sprawa ta przedstawia się wręcz przeciwnie, bowiem stosunek sfer gospodarczych, zarówno jak i całego ogółu ludności — do szkół zawodowych jest nie bardzo przychylny, co odbija się ujemnie na życiu gospodarczem Polski.

Życie zatem gospodarcze i wykształcenie zawodowe powinny się nawzajem uzupełniać. Dlatego też szkoły zawodowe mają na celu przygotowywać teoretycznie o ile możności, praktycznie, i wypuszczać w świat nowe zastępy przyszłych, dzielnych, światłych i rozumnych pracowników w różnych dziedzinach życia.

Oprócz szkół zawodowych średnich, mamy również wyższe uczelnie zawodowe, jak np. Akademja Górnicza, Wyższe Studjum Handlowe w Krakowie, Wyższa Szkoła dla Handlu zagranicznego we Lwowie, Wyższa Szkoła Handlowa w Warszawie i Poznaniu.

Lecz nie trzeba jednak nigdy zapominać o tem, że i wyższa uczelnia zawodowa nie daje jeszcze sprawnego kupca czy przemysłowca, nie stwarza odrazu bankowca, inżyniera konsula, dyrektora fabryki czy też ambasadora.

W roku 1898 Reydt, dyrektor pierwszej wyższej szkoły handlowej w Niemczech przy jej otwarciu scharakteryzował zadanie wyższych uczelni handlowych w następujących słowach:

— „Zakład nasz nie będzie przygotowywał bezpośrednio kandydatów na dobrze płatne stanowiska w handlu i przemyśle. Ukończenie wyższej uczelni zawodowej nie uprawnia do zajmowania placówek, które wymagają ponadto poważnej pracy nad sobą i odpowiedniej praktyki".

Jeśli rozpatrzymy teraz szczególnie zawód handlowca, to stwierdzić musimy, że zawód ten, od niedawna uprawiany w chwili obecnej jest nader ciężki. To też młodzież, garnąca się do niego, powinna, zdawać sobie jasno sprawę z trudności, z jakiemi trzeba walczyć i borykać w handlu, by dopiąć celu.

Ponieważ jednak obecny handel polski jest na drodze do zajęcia należnego mu stanowiska wśród potęg gospodarczych świata, ważną jest rola handlowca o wykształceniu handlowem w najszerszym jego zakresie. Należy tutaj zaznaczyć, że zawód handlowy, mający charakter przeważnie praktyczny, wymaga zarówno studjów praktycznych, jak i poznania nauk teoretycznych tej dziedziny. Dlatego też nawet posiadacz dyplomu wyższej uczelni handlowej, chcąc stać na wysokości swego zadania, musi w dalszym ciągu śledzić życie gospodarcze, wszelkie zachodzące zmiany warunków, zwyczajów i różnych przepisów, obowiązujących na rynkach światowych.

Kiedy jednak handlowcy z wyższem wykształceniem, dzięki obszerniejszym znajomościom teoretycznym, mają pierwszeństwo w zajmowaniu poważnych stanowisk, gdyż łatwiej przyswajają sobie pracę biurową, wnosząc do niej własną inicjatywę, — to abiturjenci średnich szkół zawodowych powinni brać się bezpośrednio do życia praktycznego, bo nie wstyd, a honor jest tarczą każdej uczciwej pracy.

A wówczas wytworzy się handel i przemysł

o charakterze bardziej lojalnym, etycznym, niż obecnie.

Dotychczas jednak zbyt małe są szeregi młodzieży, uczeszczającej do szkół zawodowych.

Młodzież, nie doceniając znaczenia szkół zawodowych, w których w bardzo krótkim czasie mogłoby zdobyć odpowiednią wiedzę fachową i — z braku funduszów, potrzebnych na kształcenie wyższe, związane z wstąpieniem do gimnazjum — w 90 proc. idzie w życie bez odpowiedniego przygotowania, bezpośrednio po ukończeniu szkoły powszechnej.

Widzimy z powyższego, że dążyć powinniśmy przedewszystkiem do zwiększenia ilości szkół zawodowych, jakoteż i powiększenia zastępów młodzieży, wstępującej do tego rodzaju szkół, w których nauka nie jest bynajmniej łatwiejsza, niż w gimnazjach, jak to się zawsze mniema. Studja w szkołach zawodowych wymagają tylko innego rodzaju uzdolnień, a mianowicie: spostrzegawczości, szybkiej orjentacji, energji i samodzielności.

Młodzież niechaj zatem garnie się do szkół zawodowych, gdyż brak nam fachowo wyszkolonych rzemieślników, kupców, techników i przemysłowców, a jest rzeczą niesłychanie ważną dla naszego państwa, aby przemysł i handel dostał się w ręce obywateli pochodzenia polskiego

Zresztą najważniejszemi dla społeczeństwa i kraju są te zajęcia, w których się coś umiejętnie wytwarza, produkuje.

Te zajęcia, dostarczając największe dochody, zapewniają jednocześnie najlepsze utrzymanie i dają pewną niezależność osobistą.

Edward Ciszewski. Szkoła Handl.

EGOISTA.

Myślę zawsze i wiecznie o sobie. Gdy patrzę w przeszłość, widzę przepaść bez dna, bez granic, bez końca. W takich chwilach zdolny jestem jeszcze do interesowania się mymi najbliższymi. Jeżeli ujrzę słoneczną dal, zapominam o wszystkiem. Pozornie żyję tak samo, wykazuję te came czynności, ale „poświęcam się“ nie dla siebie teraźniejszego, małego, zmieszanego z tłumem, ale dla tego, który zabłyśnie nad światem i którego imię nie zaginie. Bo ta przyszłość, słoneczna dal — to sława.

Gdy jestem usposobiony sceptycznie, widzę, jak odbywam swą ziemską jako jeden z wielu zwykły robak. I wówczas ciarki mnie przechodzą. Zginę i nic po mnie nie zostanie? W pustkę się zamienię, pogrążę się w nirwanę? Ja się tej nicości boję. Skoro zamknę oczy, czuję, jak spadam. Takie uczucie ma trwać bez końca?!

Nie, to wogóle słowami nie da się wyrazić.

Straszna chłodna pustka i charakterystyczne podrażnienie w dołku. Ale najstraszniejsze to bicie serca, zdaje się, że nawet ono cię opuści i nastanie jeszcze potężniejsza, idealniejsza pustka. Kto ma podobne uczucie, które godzinami tobą miotać będzie, które oczu ci zmrużyć nie da, znajdzie wreszcie jedyne wyjście z sytuacji — Sławę. Jeśli od tej olśniewającej chwili potrafisz marzyć o blasku, glorji, aureoli, jesteś uratowany. Nie myślisz o niczem, niczem, jedynie tylko o sobie, chociaż prawdziwy egoizm życiowy jeszcze się nie zaczął. Po upojeniu szczęściem powracasz do rzeczywistości. Wracając z krainy marzeń, zachwiejesz dążenie do sławy i odrobinę wiary przynajmniej w możliwość jej zrealizowania.

Przeważnie w marzeniach moich zyskuję rozgłos i cześć na wieczność przez pracę dla szczęścia całej ludzkości. Chcę, by mnie czciły gromady, tłumy, zbiorowiska ludzi wielotysięczne, wielomiljonowe narody. Ale nie chcę, aby to był odruch zabobonnej trwogi, spojrzenie rzucone na oślepiające słońce. Pragnę, aby to była miłość, radość, że jeden z nich... Aby spełniło się to, o czem marzę, muszę na nowo świat budować? Zabieram się do pracy nad sobą i myślę, czytam, uczę się.

A skoro uczuję w sobie jakąś niepewność, niezgodność, staję się formalnym dezerterem. Boję się ruszać, wywlekać sprzeczności, tłumaczę się przed wewnętrznem „ja“ ważnością innych spraw i przechodzę nad problemem do porządku dziennego. Tak chciałaby moja zewnętrzna osoba, wewnętrzna sama rozbiera, roztrząsa tematy, gdzie jestem niepewny. Fałszu nie znoszę, a przecież tu maskuję się przed otoczeniem, a nawet sobą. Wtedy ukazuje się pierwszy zwiastun mej wielkości... roztargnienie.

A więc gdy pracuję nad sobą, jestem egoistą, gdy myślę o sławie, pocieszam się, że ma ona w sobie pierwiastki al-

truizmu. Chciałbym przecież, aby ma wielkość udzieliła się wszystkim, chciałbym ją rozpylić dla wszechświata i dla ludzkości, ale w ten sposób, aby każda cząsteczka równa była siłą całości. Jednak wiem, że do pięknego dążenia do sławy wkrada się samolubstwo. Czyżby egoizm przeważył? Aby się to nie stało, trzeba znów pracować nad sobą. Istne błędne koło! Ale mnie chodzi przedewszystkiem o sławę, by nie doświadczyć spadania. Brr. Więc jednak kocham tylko siebie i zawsze siebie i nie mogę sobie tego darować.

J. Brojde, G.P.H.S., VI kl.

Feljeton po — karnawałowy.

„Minął szybko karnawał — może za szybko.

Wywietrzały z kieszeni złotóweczki.

Munduru już się nie podczyszcza herbatą.

Wszystko przeszło, nie wróci...

Zostaną kochane nadewszystko wspomnienia“...

Tak pisał Kacap w pamiętniku. (Kacap to jest mój niby przyjaciel). Jak mi to pokazał, aż oniemiałem. Przecież on zawsze czuł taki wstręt do pisania. Medytowałem, jak się to mogło stać, aż tu Kacapek wyznaje (w tajemnicy), że się zakochał... Rety, co się dzieje!...

Mówiłem mu zawsze: Nie kochai się, bo to czasy ciężkie, ucz się — to i matka będzie miała pociechę. Musiał się rzeczywiście i to mocno „zabujać“. Zresztą i ja się kocham.

O tem później. Ot — cielęcy wiek.

Ale nie trzeba się przejmować. Chodziło się na wieczorki ,teraz się chodzi na ślizgawkę. Jeżeli chodzą „dygnitarki i dygnitarze“, to dlaczego ja mam nie chodzić?!

Najlepsze jednak są te najmłodsze koleżanki — z trzeciej, czwartej klasy. Już się oglądają za chłopcami. Czemu się zresztą dziwić?... Przecież i to są „kobiety“!

Lecz mnie to nie wiele wzrusza, bom „wielkim człowiekiem“.

Znam włoski — un poco, angielski — good bay, francuski — que vs. etes jolie! i oczywiście łacinę — ecce homo. Tylko, że mnie nie doceniają w szkole. Nie przejmuję się tem. Einstein miał w szkole dwójkę z matematyki — ja też mam. — Koń ma dużą głowę — niech się martwi.

Przepraszam, że się tak rozgadałem. Muszę się jednak wywnętrzyć — bo jak już powiedziałem — kocham się i wyznaję ze skruchą: „Moja ukochana jest piękna“.

Jednak „miłość zawsze wyjdzie bokiem“ — jak mówią ludzie mało subtelni.

Dostałem piękną cenzurę — szkoda słów.... Papier był wyśmienity (oczywiście ten cenzurowy). A jak pięknie były powypełniane rubryki:

Sprawowanie — odpowiednie...

Matematyka — niedostateczny i t. d.

Z powodu tej miłości nie mogę się nigdy zabrać porządnie do lekcyj. Przed oczyma mojemi staje piękna postać, z ogromnemi, niebieskiemi oczyma. Co za oczy!... Wiecznie rozmarzone, otwarte... I rzęsy... czarne, bardzo długie...

Pomimo tego staram się zawsze być bardzo „pilnym“, by ojciec to podziwiał.

„Na wywiadówki“ chodzi jednak zawsze matka.. dla pewności... Krótka rozmowa po „wywiadówce“.

— I ty się nie wstydzisz; taki stary jesteś...

— Przesada, mamusiu, mam dopiero 17 lat.

— Widzisz, córka pani S. dostała maturę na samych piątkach, a syn tej pani to nawet dostał medal i t. d.

— Ja też mam dostać medal — za spis ludności, czyż nie cenniejszy? Praca bezinteresowna dla Ojczyzny, dla społeczeństwa.

Doszedłem do tego b. prosto. Jak się uczę dobrze — to robię sobie dobrze, a robienie sobie dobrze jest egoizmem; tylko praca dla ogółu jest godna człowieka. (Jaka prosta logika!)

Jak nie umiem lekcyj — to i koledzy

mają uciechę i profesor ma zajęcie: zapiszę mi misterną dwójkę z prawdziwą rozkoszą.

Czy jak się będę uczył — będę dłużej żył? — Przesąd!...

Feliks Małolepszy.

KĄCIK NAJMŁODSZYCH.

Żołnierzom polskim.

Na pamiątkę dla uczniów klasy III-a G. P. T.

Huk armat, wystrzały w dali,
Wszystko w jeden grom się wali,
Bitwa ogień nieci!
Poszły w boje ojce, syny,
Zostawiając swe rodziny:
Matki, siostry, dzieci.
W boje idą żołnierzyki,
Słychać salwy, wrzaski, krzyki
I wybuch granatów.
Hej! kto Polak na bagnety!
To niech doda nam podnięty!
Krzyczy wódz Polaków.
Bitwa w ogień zamieniona,
Jakiś żołnierz we krwi kona:
„To, Polsko, dla Ciebie"!
Giniesz biedny żołnierzyku,
W tym piekielnym, strasznym krzyku,
Lecz pożyjesz w niebie!
Pędzą nasi! Wróg się cofa!
Każdy z naszych Polskę kocha!
Nie odda jej, nie!
Bo w tej Polsce, w drogim kraju,
Wszystko jakby w niebie, w raju,
Wszystko szczęściem tchnie.
Wy, przez nas niezapomniani,
Swoją własną krwią oblani,
Polacy - żołnierze!
W sercach polskich dziś żyjecie,
Nieśmiertelnie żyć będziecie,
Za życie w ofierze!

Ryszard Zarzycki

Były uczeń klasy III-a Gimn. im. R. Traugutta.
Francja — Metz, dnia 20 lutego 1932 roku.

Wspomnienia wakacyjne.

Podczas naszego zeszłorocznego pobytu nad polskiem morzem wybraliśmy się z Wielkiej Wsi do Rozewia, gdzie jest największa latarnia morska na Bałtyku. Szliśmy przez bulwar, który, ciągnąc się równolegle do wybrzeża daje piękne widoki na morze. Cały ten szlak wyłożony kostką granitową, kosztował bardzo wiele. Doszedłszy do Rozewia, zjedliśmy najpierw podwieczorek, a potem poszliśmy zobaczyć morze z latarni. Urządzenia latarni obejrzeć nie mogliśmy, bo do tego trzeba pozwolenia Urzędu Morskiego. Przed naszemi oczyma widać było olbrzymi szmat, szafirowego Bałtyku, do którego po zachodniej stronie, za parę godzin będzie schodziło słońce, rzucając na wodę oślepiające blaski. Po lewej stronie wybrzeże z wioskami rozłożonemi w nizinie, sięgające aż po zamgloną granicę niemiecką. Po prawej stronie, na wschód, uwydatniał się na jaśniejszem tle zatoki puckiej i ciemniejszem — morza długi języczek Helu z zielenią swych lasów i bielącym od strony Bałtyku rąbkiem piasków.

Kiedy zeszliśmy z latarni, pobiegliśmy po stromym i wysokim brzegu, zarośniętym liściastym lasem na plażę, która jest usiana masą wielkich kamieni, obmywanych przez silne północne fale, które od Rozewia na zachód są większe od fal na półwyspie Helu.

Postanowiliśmy wracać plażą, mając po lewej morze, a po prawej stronie strome wybrzeże, co pewien czas przecięte przez ujścia rzeczek. Idąc jakiś czas boso po mokrym piasku, co chwila zalewanym przez szeleszczące fale, wróciliśmy jednym z tych wąwozów na bulwar. Zbieraliśmy kwiaty: liljowe i szaro-niebieskie skabjozy, malutkie dzikie lwie paszczki i drżączkę, któremi usiane były strome ściany wąwozu. Stanąwszy na bulwarze spojrzeliśmy na morze, widoczne w obramowaniu urwistych zboczy. Po tym skraweczku szafirowej wody przesuwał się w naszych oczach statek, pozostawiając za sobą długą smugę dymu.

Gdy teraz siedzę w domu przy odrabianiu lekcji, myślę o ubiegłych wakacjach i czekam tych, które nadejdą, przynosząc mi, jak Bóg da, promocję i nowe niespodzianki i przyjemności.

Stanisław Bogusławki, G.P.H.S.

Dla ciebie Polsko.

Dla ciebie Polsko me trudy
i znoje
U stóp Twoich składam
młode serce swoje,
To jest we mnie najdroższe
Ojczyzno ma droga,
O Twą Polsko pomyślność
zawsze proszę Boga!
Dla Ciebie droga Ojczyzno giną
syny Twoje,
I dla Ciebie Polsko leją się
krwi zdroje.
My bardzo Cię kochamy Polsko
wyzwolona.
Tobie się należy berło i korona!

Irena Migalska, G.P.J.S.



— Od Redakcji.

Następny numer kwietniowy ukaże się około 20. IV. Wobec powyższego prosimy o nadsyłanie prac do dnia 10 kwietnia.

— Z obchodu Sodalicji Marjańskiej w G. P. T.

Dnia 5 marca b. r. w sali I Gimn. urządziła Sodalicja Marjańska przy G. P. T. uroczysty obchód w związku z dziesięcioleciem swego istnienia. Uroczystość zaszczycił swą obecnością J. E. ks. biskup Dr. Kubina. Na początku obchodu chór uczniów II Gimn. wykonał pod batutą p. prof. Wopaleńskiego: „Hejnał Jasnogórski" i „In Domino" — Perosi'ego oraz Hymn Sodalicyjny. Następnie ks. Moderator Koźlicki wygłosił doskonały referat p. t.: „Młodzież w obliczu komunizmu", który spotkał się z entuzjastycznem przyjęciem słuchaczy. W dalszym ciągu obchodu kol. T. Zieliński zadeklamował z uczuciem wiersz Gołby p. t.: „Królowa Polski". W części muzycznej obchodu kol. Płomiński odegrał przy akompanjamencie p. prof. E. Mąkoszy „Thais" Meditotion — Masseneta, „Poem" — Fibicha i „Souvenir" — F. Drdla.

Kol. Płomiński i tym razem zyskał artystycznem wykonaniem wyżej wymienionych utworów uzanie publiczności.

W części II, która różniła się bardzo pod względem charakteru od cz. I-ej, grała orkiestra G. P. T. Wykonała ona pod dyr. p. prof. Wopaleńskiego kilka utworów, których większość słyszała już publiczność na poprzednim koncercie.

Nadprogramowo występował kol. Dąbrowski, który z przejęciem i piękną dykcją wypowiedział wiersz p .t.: „Modlitwa o pokój" — Gołby.

— Wieczorek w Szkole Rzem.-Przemysłowej.

Dorocznym zwyczajem odbył się dn. 23 stycznia 1932 r. wieczorek taneczny w salach własnych, urządzony staraniem „Bratniej Pomocy" tejże szkoły. Kol. kol. D. Jaworski i K. Sobieraj wodzireje, kierowali umiejętnie zabawą. Młodzież uczniowska przy dźwiękach doborowej orkiestry tańczyła najnowsze tańce. Duże zainteresowanie budził zapowiedziany konkurs walca z nagrodami, które to zdobyli: I miejsce zajęli kol. I. Kucharzewska, Szk. Handl. z kol. Jerzym Szwabskim, Szk. Rzem.-Przem., II—kol. Podstawkówna, M.S.N.Ż, III — Maciążanka z M. S. N. Ż z kol. J. Małym Szk. Rzem.-Przem. Gospodarzami byli M. Pigulski i E. Szewczyk.

Wieczorek zakończył się o godz. 12, mimo protestów ze strony rozbawionej młodzieży.

M. P.

— Z koncertu w I-em Gimn.

Staraniem Samopomocy G. P. H. S. odbyły się dnia 12 i 13 marca r. b. dwa koncerty pod artystycznem kierownictwem p. prof. E. Mąkoszy. Koncert stał na wysokim poziomie. Na specjalne wyróżnienie zasługuje zarówno chór mieszany, jak i męski. Oba rozporządzają b. dobrym materjałem głosowym, a przytem daje się odczuć doskonałe kierownictwo p. prof. Mąkoszy.

Chór męski wykonał: „Dwie dole" i „Wisłę" — E. Mąkoszy, oraz na bis znaną piosenkę: „Oj nie chodź Marysiu do lasu". Chór mieszany odśpiewał pieśń: „Gaiczek zielony" — Joteyki, oraz dyrygenta: „Hasło" i „Wiązankę pieśni Legjonowych".

W koncercie wzięli również udział soliści: kol. Dębski, kol. A. Mąkosza i kol. Łuczkiewicz. Kol. Dębski wykonał na fortepjanie „Etiudę As-dur" — Wollenhaupta, „Dziewczę z buzią jak malina" — Spindlera i na bis „Poloneza A-dur" — Chopina.

Z dużem uczuciem odegrał kol. A. Mąkosza na wiolonczeli przy akompanjamencie p. E. Mąkoszy: „Berceuse" — A. Järnefelta. Kol. Łuczkiewicz odśpiewał pięknym sopranem dwie pieśni Karłowicza. Chwilami jednak duża trema psuła wrażenie pięknego głosu.

Na zakończenie orkiestra symfoniczna I Gimn. pod batutą p. prof. Mąkoszy wykonała szereg utworów.

H. O.

— „Finał karnawałowy" w Szkole Handlowej.

W dniu 9 lutego b. r. staraniem czwartej klasy Szkoły Handlowej odbył się w lokalu własnym ostatni, w minionym karnawale wieczorek taneczny, jako uroczyste pożegnanie karnawału.

Zebrana tłumnie młodzież bawiła się ochoczo do północy: w dwóch pomysłowo udekorowanych salach przy dźwiękach doskonałych orkiestr wirowało rozbawione towarzystwo w liczbie przeszło 120 par. Wielką inowacją było rzadko naogół stosowane „zapoznanie się w kole", przeprowadzone przez energicznych kol. kol. wodzirejów w czasie walca. Sala gier, z uroczą dekoracją „zimy" otwarta na czas zabawy dla osób nie tańczących, nadzwyczaj tani bufet, swobodny nastrój, doborowe orkiestry oraz ogólna wesołość, wywołana myślą, że to już ostatni... wieczorek: wszystko to złożyło się na jedną wielką, beztroską, pełną humoru, zabawę u „handlowców".

E. C.

— Z kuligu Szk. Handlowej.

Zorganizowany przez czwarty kurs Szk. Handl. kulig wyznaczono na dzień 22 lutego.

Od godz. 8-ej rano amatorzy kuligu poczęli zbierać się z saneczkami przed budynkiem szkolnym, skąd o godz. 10, żegnani owacyjnie przez kol. kol., pozostających na normalnych zajęciach, wyruszyliśmy długim korowodem saneczkowym w kierunku śródmieścia. Przeprawiwszy się z trudem przez oczyszczone ze śniegu ulice, skierowaliśmy się w stronę Rudnik. Pomimo tego, iż śnieg prószył, a ostry mróz ciął niemiłosiernie w twarze dobrnęliśmy jakoś szczęśliwie do Rędzin. I tutaj pierwsza przygoda: chcąc skrócić sobie drogę, skierowaliśmy w boczną ulicę, gdzie natychmiast konie ugrzęzły w zaspie śnieżnej, a i obciążone porządnie sanie nie utrzymały sie na powierzchni. Zawróciwszy spiesznie własnemi siłami, udaliśmy się drogą pierwotną. Około godz. 12 stanęliśmy nareszcie u celu podróży: w Rudnikach, gdzie przyjmowani z nadzwyczajną gościnnością w trzech miejscach, bawiliśmy do wieczora.

Poza gremjalnem wywróceniem się całego sznura saneczkowego w Rudnikach, podkreślić należy rozpoczętą „tańcówkę", sparaliżowaną jednak powagą Wielkiego Postu.

O godz. 6,30 opuściliśmy tak miłe miejsce i wśród ciemnego wieczoru zimowego wracaliśmy do domu: częściowo na saniach, a częściowo piechotą, wśród ciągłych niespodzianek „wywrotowych", intonując kolejno przeróżne melodje, zdążaliśmy po całodziennej wędrówce do naszego grodu.

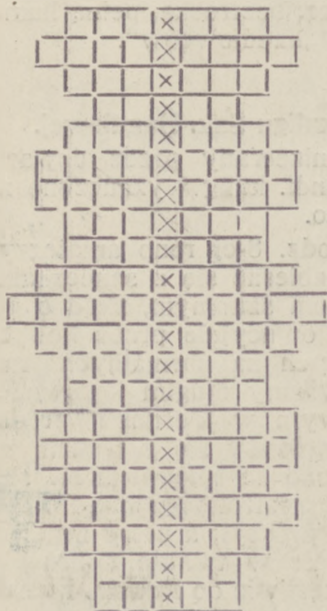
Tak się skończył niezapomniany, wesoły kulig, pozostały tylko zdjęcia i wspomnienia.

E. C.

DZIAŁ ROZRYWKOWY.

LOGOGRYF

uł. B. Kozłowski G. P. H. S.



Na miejsce kratek i krzyżyków wstawić wyrazy o podanem znaczeniu. Krzyżyki dadzą aktualne rozwiązanie.

Znaczenie wyrazów: 1) Zasłona na głowę, 2) Wrzawa, 3) Zwierzęta ziemno-wodne, 4) Astronom niemiecki, 5) Miasto w Chinas Ceores, 6) Barwnik ognisto czerwony, 7) Zwierzchnik religji wsch., 8) Tkanina, 9) Minerał, 10) Prez. Chile, 11) Przyjęcie, 12) Słynny skrzypek (bez i), 13) Orjentalizm żydowski, 14) Grzbiet tatrzański, 15) Praktykant u rejenta, 16) Słynny egiptolog, 17) Polityk polski, 18) Cesarz rzymski 19) Myśliciel francuski, 20) Bagno, 21) Skalne świątynie egipskie.

DEPESZA

Uł.: „Tyka" G. P. T.

Z liter w podanej depeszy ułożyć trzy wyrazy, będące najważniejszem hasłem na czasie.

PAUL SZYKUJ KONIE ŚWICT.

SZARADA.

ułożył: Kazik B.

Z podanych niżej sylab ułożyć 10 wyrazów, których początkowe litery dadzą rozwiązanie.
cy — ce — ci — cja — cja — die — gno — gna — i — i — je — ku — lec — le — li — la — ma — na — nek — pier — ro — ra — ran — so — so — ty — wa — wie — wios — zo — zja.

Znaczenie wyrazów: 1) miasto w Azji, 2) kwiat wiosenny, 3) nieznajomość, 4) język starożytny, 5) państwo europejskie, 6) gwałtowny deszcz, 7) okręg kościelny, 8) dzielnica dawnej Warszawy, 9) leczenie, 10) imię męskie.

Za najlepsze rozwiązanie zadań konkursowych z poprzednich numerów jako nagrody otrzymują: kol. Czakiert (Szk. Handl.) książkę gen. M. Zaruskiego: „Nawigacja jachtowa"., kol. Kozłowski (G. P. H. S.) — pułk. Sianożęckiego „Zbiorowa obrona przeciwgazowa".

Rozwiązania zadań z tego numeru ze znaczkiem 10-groszowym należy nadsyłać do 10 kwietnia b. r.

Kurator: **Dr. H. Płodowska.** Red. odp. kol. **E. Basiński.**

Korespondencje i prace nadsyłać pod adresem Redaktora kol. **E. Basińskiego**, II Gimn. Państw., Aleja Wolności 13.

Zakłady Graficzne F. D. Wilkoszewskiego w Częstochowie, III Aleja 52, tel. 2-45.